

Józef Stanisław Wierzbicki.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

KSIĘGA CISZY.

NAKŁAD KSIĘGARNI W. MAKOWSKIEGO.

WILNO — MIŃSK.

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

HANKA, POWIEŚĆ PODOLSKA — WARSZAWA.

ZOSIA, KSIĘGA PAMIĄTEK — WARSZAWA.

RAJGRODZKI, POWIEŚĆ (PSEUDONIM ALFONS LAT—I) KRAKÓW.

POEZJE, TOM I — KRAKÓW.

O BRZASKU, MIŃSK—WARSZAWA.

RAPSODY — LWÓW.

KU SŁOŃCU — LWÓW.

ATLANTYDA — LWÓW.

WSTĘP.

Nie, nie zginęła! Słuchaj! z starej wieży,
Co krzyżem niebu rzuca się w ramiona,
Płacz melodyjny srebrnych dzwonów bieży:
To płacze ona, ona, ona...

W podwojach grodów, pod słomianą strzechą,
W tym modrzewiowym, pełnym Boga dworze,
Jak jęk żałosne po niej chodzi echo
I leci w zorze, w zorze, w zorze...

W żaliskach starych, w sennej borów ciszy,
Na tym szumiącym falą kłosów łanie,
Twe ucho skargi jej bezbrzeżne słyszy,
Jak matki łkanie, łkanie, łkanie...

Nad kołyskami staje w snów pomroce,
Nad głowy starców chyli się tułacze,
Rodowe budzi z niepamięci moce
I w sercach płacze, płacze, płacze...

ZŁUDA.

I przyszła do mnie, jak duch jaki biały,
I pochyliła twarz uśmiechem Boską,
A zaświatowe oczy jej spojrzały
Z bezbrzeżną żalu i miłości troską.

I przyszła do mnie, szepcąc mi nad głową
Baśń z innych światów, spromienioną w cuda,
Legiendę szczęścia, jak łza kryształową,
I serce wzięła mi... To była złuda!

ŁABĘDŹ.

Jezioro zorzą wieczorową bucha
I wniebowzięte gdzieś na kresach ginie,
A z blasków zorzy cichy, nakształt ducha,
Wypłynął łabędź i trwa na głębinie.

Dokoła jasność, niby uśmiech, błoga,
Latawca wiosny złotej opromienia,
A on — ptak słońca i ptak biały Boga,
Jak gdyby szukał mroków i milczenia;

Na upojone niebem fale płowe
Położył skrzydeł roztoczonych pióra
I pocichutku zwraca senną głowę
Tam, skąd noc idzie, jako cieni chmura.

KRUK.

Kruk rzucił cień swój na szczyt nagi sosny,
Co uschła, licząc konarami burze,
I zawisł na niej, bijąc w krzyk żałosny
W krwią zórz nabrzmiałej pierwszej mroku chmurze.

I zeszła nad nim noc podobna niańce,
Troskliwie w zmierzchy otulając padół,
I jęła zwolna niecić gwiazd kagańce,
Co drgały, jakby tam huragan zadął.

Kruk, co nadstawiał burzom czasu łono
I tylu wieków widział moc i pychę,
Zdał się wieczności cząstką uskrzydloną,
Wzbitą nad głębie ukojenia ciche.

Aż zgasł w ciemności, co szła, jak nawała;
Krzyk tylko jego nad przestworza wzlata,
Jak gdyby bólem wielkim noc krzyczała
Nad wielką grozą i nicestwem świata.

PROMETEUSZ.

Prometeuszem był i chwytał płomień
Z jej ustek ślicznych, z jej słonecznych oczu
I ciskał w strofach, pełnych oszołomień,
Promienie słońca widząc w jej warkoczu.

A kiedy cicha noc kochanków mroczy,
To znów jej zwracał po iskierce... słońce,
Byle spoglądać w upojone oczy,
Byle całować usta pałające.

POEMAT.

Był to poemat z śmiechów, łez, szczebiotu,
Z róż, co na licach jako pączki kwitną,
Z objawień duszy, co się rwie do lotu
I pokazuje w oczach jaśń błękitną.

A ten poemat nazywał się dzieckiem:
I podrywało się rączkami ku mnie
W ogrojcu życia smutnym i zdradzieckim,
Kończąc najpierwszą strofę życia w trumnie.

I tak mi poszło, niosąc uśmiech błogi...
Lecz gdzie? do jakich nieznanych wybrzeży?
Ślimacze szczęścia i obłędne drogi,
Ale nieszczęście prosto w serce mierzy.

DUSZA PÓL.

Jakby zaklęta pól szerokich dusza,
Na miedzy szumi listkiem każdym żywa,
Garnąca ciemność w swe konary, grusza,
Cudowna harfa snów i wróżka żniwa.

A kiedy w cichą noc się rozszeleści,
To drży w gasnącym bladych zórz uśmiechu,
Na ucho jakby szepcąc ciche wieści
Gwiaździstej nocy i sennemu echu.

PO ZACHODZIE.

Świat stał się ciszą po skonaniu słońca,
I tylko w mrokach, gdzie już nic nie mami,
Jak dziwna muszla, męką życia drżąca,
Szumiała dusza moja... wspomnieniami.

Ileż ich miałem w gorzkiej życia matni,
A szły przez duszę tęsknotą lub łzami...
Jak łabędź, nucąc życia śpiew ostatni,
Śpiewała dusza moja... wspomnieniami.

MELODJA CISZY.

Niech się ukoi smutnych serc Gehenna,
Niech snem tęczowym spłyną łzy sieroce.
Melodjo ciszy, tajemnicza, senna!
Grasz sercom ludzi w takie słodkie noce
Nieskończoności pieśń..., że dusze wiszą
Pomiędzy niebem, Bogiem, a tą ciszą.

I ludzie chodzą, tęczą złud olśnieni,
W listkowych szmerach, wśród słowiczych szlochań.
Melodjo ciszy, harfo z strun - płomieni!
Grasz sercom ludzi cudną pieśń ukochań,
Porywasz w bezmiar szczęścia i katusze...
Tyś wyśpiewała nawet moją duszę.

CISZA WIECZOROWA.

O, w najpiękniejszy z srebrnych mgłą wieczorów
Jest cisza owa, gdy gwiazdy przygasną
Nad roztopionem w sen milczeniem borów
I woda świeci się jasnością własną,
A kłosy wiatru tchnieniem się nie wzruszą,
Jak zamyślone wielką świata duszą.

O, wtedy zważaj! jakaś jest otucha
I litość w onej ciszy wieczorowej;
Ktoś żałośliwie Twych zamilczeń słucha,
Ktoś cierń wyjmuje z Twej męczennej głowy
I kładzie dłonie, tak jak sny kojące,
Na twoje serce smutne i milczące.

S E N.

Mam sen, co w duszy, tej strażnicy czarów,
Wciąż się powtarza, jak uparta zmora:
I widzę we śnie las i w górach parów,
Łąkę i trójdąb pod skałą... jak wczora...

Wnijście pieczary głaz przywala ślepy,
W pieczarze wieją czarne skrzydła zmierzchu;
Ponuro skalne podniebią się sklepy,
Posępnie mroczą nietoperze zwierzchu.

We wnękach skały lśnią zastygłe ślady
Przeszłości — skarby, które czas rdzą zbroczył;
A jeden pieniądz, jakby srebrnik zdrady,
Aż pod me stopy senne się zatoczył.

Na głazach twardych, jak pierś nieprzyjaciół,
Puszą się strzępy sztandarów złowieszcze,
Łyskają zbroje, jakby czas się zaciął
I chciał wbrew życiu je zachować jeszcze.

Bezcenne sprzęty, złoto mis i kruży,
Skry djamentowe w krąg, jak łez kropelki,
A nad tem wszystkiem srebrzy się i chmurzy
Posąg o twarzy Chrystusowej wielki.

Tak, skoro tylko zejdzie mrok z bezmiarów,
Sen znów obwija piersi me, jak zmora:
I widzę we śnie las i w górach parów,
Łąkę, i trójdąb, i głaz ów... jak wczora...

KWIATY ŚMIERCI.

Cieniom Zosi i Marychny Kulczyckich.

Są kwiaty, ręką naznaczone Boga
Na śmierć. Ja pomnę Was, dzieweczki obie:
Tak lekko biegła Wasza życia droga
Pod krzyż, rozpięty na milczącym grobie.

Tchnęłyście wiosnę z siebie, dając tyle
Jej chacie swojej, że jak ul brzęczała,
Wy — rajskie niebu odkradzione chwile,
Dla ziemi smutnej zaklęte w kształt ciała.

Tyś, młodsza, naprzód, a tak cicho, we śnie,
Robaczku Bożych łąk motyli, znikła;
Ty, starsza, byłaś, jak ptak, co boleśnie
Z starganych ziemi sideł się wywikła.

Ach, na blask nieba oczy się rozwarły,
Ująwszy blasków ziemi... Głosy cichną,
Chatni ul milczy, serca ula zmarły:
A byłaś Zosią Ty, a Ty Marychną!

PUSTKA.

Noc, pustka. Dom ów pleśnią ruin wzdycha, —
Ballada cała grozy; a na dachu
Stróż tajemniczy, sowa, jęcząc zcicha,
Powiewa skrzydłem, jak sztandarem strachu.

Noc, a niebiosa w chmur bezgwiezdnej zbroi,—
Dom, jako widmo, w szarej ścian opończy,
Na dróg rozstaju, na widecie stoi
I zda się ciemność z okien ślepych sączy.

Zawarte jego drzwi, jak próg wieczności
Tym, co żyć pragną. Spójrz, gdzie mroków chmura;
Pod stropem, zda się, czas znużony gości
I gubi chwile, jak ptak senny pióra.

WIDMO NOCY.

Dziw, widmo nocy, błyskawica czarna,
Nietoperz toczy kręgi niesłyszalne.
Dokoła niego ros gwiaździste ziarna
Na rzęsach kwiatów lśnią jak łzy błagalne.

W mgłach nad nim szepcą dziwną sagę drzewa...
A on — skrzydlaty upior, bezkształt zwinny,
Nim jak myśl zleciał, już jak sen przewiewa;
Był, nie wiem jaki?! będzie... może inny?!

BRZEG ROZBITKOW.

Jest brzeg rozbitków. Morze tam usnęło,
I tętna fali ucho już nie słyszy;
I całe wielkie burzy arcydzieło
Na piasku kończy się melodją ciszy.

Zmilkł płacz żywiołów, zcichła serca skarga,
Jak perły drogie śpią nadzieje na dnie...
Jest brzeg rozbitków, gdzie już wichr nie targa
I gdzie się fala na spoczynek kładzie.

KTOŚ MÓWI DO MNIE.

Ktoś mówi do mnie, ktoś, co stopą trąca,
Jak sen lub wietrzyk ciche zbożne łany,
Ktoś, co ma widma twarz a blask miesiąca,
Ktoś, co był niegdyś i co zgasł nieznany.

Lecz pozostawił uśmiech, co nie znika,
I głos, co skarży się, jak łza harfowa...
Ktoś mówi do mnie: cudnego języka
Skroś ciszę drgają w łzach i czynach słowa.

MŁYN.

Młyn w poszarpanej mgłą pomroku chmurze
Wsparł na wiszarze zręby ścian, by nie paść,
I z pod łotoku sączy krople duże,
Jak gorzkie pustki łzy w milczącą przepaść.

Czas dlań już zastygł; w dzikim fal rozpędzie,
Jak człowiek, nagle obumarły koła,
Mknąc ku przyszłości, której już nie będzie;
Korytem pustem rzeka o nurt woła.

Wierzb rozpaczliwie wężą się ramiona
Nad trzęsawiskiem, co trzcinami gwarzy;
Młyn każdą cząstką, każdą cegłą kona...
I czujna groza siedzi w nim na straży.

Wierzch zdarł mu wicher, ze ścian gruzów trzewie
Wyżarte padło pod obuchem gromu;
Lśni z okien jego resztką szkliw zarzewie,
Lecz echo w nim nie skarży się nikomu.

GRAJĄCA CISZA.

Nie, to nie cisza; zewsząd dźwięki biegą,
Hymn bucha w niebo śpiewną tonów zgrają;
Mistrz jakby dostał smyczka cudownego, —
Dokoła struny, a te struny grają.

Melodja dziwna płynie coraz czystsza,
Śpiew nieba zgrzyty smutków ziemi głuszy...
Słuchacze niemi, znacie tego mistrza:
To Wasze serce gra ów koncert w duszy.

DZIWNE OCZY.

Nieraz ciemności jakiś blask przeszywa,
W twarz wymierzony Twą, i znów się mroczy, —
Straszliwe, w ciszy wyiskrzone szkliwa,
Co gasną i znów patrzą w mrok... To oczy!

Drapieżne, pełne czaru, tajemnicze,
Wabiące, grają, jak symfonja złota
Ogników błędnych albo próchna żnicze,
Magnetyzując mrok... To oczy kota!

UKOJENIE.

Kiedy noc, nakształt olbrzymiego ptaka,
Skrzydłami cieni dotknie czoła Twego,
Czego w Twej duszy święta cisza taka
I z oczu smutnych łzy szczęśliwe biegą?!

Tak samo przecie wody monotonne
Konają z szumem niw pod niebios bramą, —
Tak samo wkoło wiecznie grzmi podzwonne,
I serce czuwa i drży... wciąż tak samo!

PATRZAŁEM W DUSZĘ TWOJĄ.

Są dusze smutne, jako groty Pana,
Co echem, zda się, mrok i ciszę dwoją,
I melancholja w nich, jak mgła rozwiana...
Patrzałem w duszę Twoją.

I biada wszystkim, co Twą ciszę zmącą!
Łzy i uśmiechy, co się ludzi boją,
Rrzucałaś w otchłań świętą i milczącą...
Patrzałem w duszę Twoją.

Na licu Twojem, jak na bladem niebie,
Przeszłości zorze o dniu zgasłym roją...
Ach, dusza sama mówi już za Ciebie...
Patrzałem w duszę Twoją.

OCZEKIWANIE.

Czekałem. Obok dąb się wsparł o darnię
I czuwał, w dziuple zapaliwszy próchno;
Świetliki niecą wśród traw swe latarnie,
Aż je dla ranka - oblubieńca zdmuchną.

Opodal łany zatoczyły kręgi,
Ówdzie na miedzach drzew szeleszczą cienie...
Patrzałem w cichą noc, jak w karty księgi,
Gdzie Bóg wypisał spokój i milczenie.

Wtem las drgnął nagle szmerem wielkiej mocy,
Szelestem dała znać mi liści warta —
I Tyś tu przyszła... W wielkiej księdze nocy
Jedna się cudna otworzyła karta.

STRUDZIŁEM DUCHA.

Strudziłem ducha w ciasnym trosk parowie,
I piersi smutek obwinął bezsenny.—
Dajcie mej skroni złote zbóż wezgłowie,
Gdzie szumią kłosem srebrne pól nowenny!

Otoczcie świętem zapomnieniem nocy
I promień gwiazdy połóżcie na lica!
Ciszy mi trzeba, co jest skrzydłem mocy
I co jak wielka mówi tajemnica.

Już się stuliło w pączek snu me serce,
Jak kwiat listkami, kiedy wieczór zlata...
Strudziłem ducha w wiecznej żądz rozterce...
Ciszy mi trzeba... O, przyjdź, ciszo świata!

NENUFARY.

Drżą na samotnej fali nenufary,
Pokładłszy blade i mdlejące liście;
Pod nimi toni nieskończoność szarej,
Nad nimi gwiazdy śmieją się srebrzyście —

I mgła, snów pełna, dokoła się kłębi...
A one zdala wędrownika kuszą
I obiecują spokój mu na głębi,
Jak gdyby były wielką głębin duszą.

OGRÓD ŚMIERCI.

Noc gwiazd i duchów. Szemrzą łany pszenne,
Jak rozmodlone, jak przed cudu przyjściem;
Drżą smutkiem śmierci drzewa grobów senne,
W mrok smętarzowy zasłuchane liściem.

I, jak wieczności fala, mgła się łamie
O krzyż, co z grobu cały się wyłania,
Jak wyciągnięte nieboszczyka ramię,
Co prosi Boga o cud zmartwychwstania.

Proch serc umarłych słodko w noc kołyszą
Śmierć, melancholja, jak siostrzyce obie,
I serca one rozmawiają ciszą...
Powiedzcie, serca, jak wam w ciemnym grobie?!

USTAŁO SERCE.

Ustało serce; z ust spalonych żądzą
Już nie wybiega skarga piorunowa;
W regjonach ciszy gwiazdy nieba błądzą,
W regjonach mroku szemrze drzew rozmowa.

Ból nie porywa, smutek nie poruszy,
Ni płakać chce się, że już przeszła droga,
Znaczona krzyżów pamiątkami w duszy...
Przyjdź, falo ciszy, i weź mię do Boga!

SOWA.

W mgle nad borami, gwiazd zadumą drżącej,
Koliskiem mrocznem krąży ptak proroczy,
Ptak, światłem wzroku zda się wchłaniający
Ciemności nocy w swe patrzące oczy.

Już w krzyk uderzył, jakby w śmierci hasło...
Czas dlań przemija, jak gość tajemniczy,
Śpiesząc się, kędy widmo słońca zgasło...
Już biciem skrzydeł cienie godzin liczy.

Nie zna spoczynku, sen ukojeń płoszy,
Pomnaża sobą mrok, jak chmur żałoba,
I nad przepaścią bólu i rozkoszy,
Jak sztandar grozy, trzyma skrzydła oba.

STRACH.

Bór się obwinął w płaszcz posępny mroku
I na wierzchołki mgłę zarzucił ciemną.
Śpieszyłem z wielką błyskawicą w oku,
By zmierzch prześwietlić, co się słał przedemną.

Tam, z mrocznych żalisk, z głębin, co się zwarły
Olbrzymim splotem liści i wykrotów,
Jak łoża śmierci tych burz, co umarły,
Ktoś ku mnie w ciszy szedł, na wszystko gotów...

Ktoś, co miał stopy, które echo liczy;
Gdzie, jak gromnica, tlała sosna blada,
Tam, obok brzozy, co skrzyp tajemniczy
Rzuciła w przestrzeń, gdzie się czai zdrada...

Ktoś szedł, i groza szerzyła się w borze.
Skróś liście rzadkich gwiazd widziałem błyski,
Moczarów grząskie wiło się bezdroże,
Ktoś szedł, ktoś straszny, dziwny, jak śmierć blizki...

Ktoś szedł i nagle!...

DZIWNA GROTA.

Rzucałem w dziwną grotę uczuć roje
I pieśni złudnem powtarzane echem;
Gdym dawał w pieśni płacz i... serce moje,
To echo w grocie drgnęło... pustym śmiechem.

Gdy przebaczyłem, echo: „mścij się!“ grzmiało;
Gdym błogosławił, echo: „przeklnij!“ rzekło.
Ach, każde z serca drgnień i... duszę całą
Rzucałem w pustkę groty tej, jak w piekło.

OCZY DZIECKA.

Gdzie się kwiatami wiła w sadzie stecka,
W mroku, co nagle padł błyskawicowy,
Ujrzałem oczy przerażone dziecka
I złotą przędzę złotowłosej głowy.

Wieczór gasnącą dogorywał zorzą;
Obłoczki biegły pośród gwiazd w żałobie,
Jako rozpierzchłe stada, co się trwożą,
I błyskawice podawały sobie,

Jak gdyby blaski otrząsając runem
Na sinej, pełnej gwiazd rozkwitłych łące...
I trwogą siną pod mroku całunem
Patrzały oczy dziecka w mrok — gasnące.

Sad wszczął przed burzą listkami rozmowę,
Nad zorzą lśniła mlecznej drogi stecka,
I gwiazdy gasły w chmurkach szafirowe,
Jak przerażone burzą oczy dziecka.

WSPOMNIENIE.

Łan krasnym maków zajął się płomieniem...
O, przyjdź, gdzie miedze w nieskończoność biegą,
Jak płaszczem nocy obwinięta cieniem,
Pod cichą troską gwiazd — do serca mego!

O, przyjdź! wszak zeszedł cud miłości w świecie
I słodko kłosem szemrze zbóż ponowa,
Lecz nie mów, moja! Płaczu serca przecie
Duch nie wypowie nawet cudem słowa.

I wyciągnąłem ręce z niemym szałem
Ku tej, co była duszy mojej siłą,
I cień mej myśli własnej uściskałem...
To szło wspomnienie, ale Jej nie było.

KRAJ NIEPAMIĘCI.

Chodź! — słyszał obok głos, co dziwnie nęci;
Wszak brzeg otchłani kraszą wdzięki maja;
Są prawem życia kraje niepamięci,
Jest cisza wieczna, jak sen, co upaja.

Tak słodko pieści fala całująca;
Na złotym piasku serca nic nie rani;
Wszak to zaklęte złote blaski słońca
W ten piasek ciszy... Prawda jest w otchłani.

Chodź, chodź! — wołały go obłędne echa,
Jak siostry brata w czasie żniw nad glebą.
I pochyliła się ku niemu strzecha
Gwiazd złotych, którą poszył Pan Bóg niebo.

Jak nocne ptaki, co podają głosy
Na polach, łudząc tych, co obłąkani, —
Chodź, chodź! — szeptały szmery szlakiem rosy...
I odpowiedział... lecz na dnie otchłani!

LIŚĆ NIE SZELEŚCI...

Liść nie szeleści wśród ogromów lasu,
Ni nurt jeziora pluska niepokojem;
Zda się — opadły lotne skrzydła czasu,
I cisza zeszła nawet w sercu mojem,

Jak czyste nieba wysokiego łono!
Szafiry, gwiazdy i marzenia kołem...
O, ciszo nocy, z gwiazd Twych, co tam płoną,
Tu cząstkę duszy mej najlepszą wziąłem.

DZWON NIESKOŃCZONOŚCI.

Zbłąkany w górach, idę, szukam drogi
W parowach, które mrok gwiaździsty grzebie;
Dokoła skały wznoszą się, jak progi
Wielkiego domu, co ma strop swój w niebie.

W mgłach rzeczywistość snu odbiciem znikła,
Nademną sosen schylały się widma,
Manowiec wołał ścieżką, co się wikła,
I krzyżem strzegła gór tych piasku wydma.

I jąłem słuchać. Nagle ku mnie zdala
Srebrzysty jakiś głos przyleciał strzałą,
Jak gdyby w dole zadzwoniła fala,
Jak gdyby w niebie łkał, a w sercu grało.

I długom zważał dziwny płacz otchłani,
Co echem w górach melodyjnem gości...
Gadają ludzie, w ciszę zasłuchani,
Że to uderza dzwon nieskończoności.

I długom zważał głos ten w serca skrusze,
I dziwnie było święcie mi i młodo...
Wpadały gwiazdy blaskiem w moją duszę
I wychodziły z mroków jej pogodą. —

Znalazłem drogę...

RUINA.

Gmach, w którym niegdyś Bogu się modlono
I sercem kładła się przed ołtarz tłuszcza,
Dziś w gruzach, — puste ma, jak szkielet, łono
I przez rozwarty strop swój gwiazdy wpuszcza.

Krzyż z stygmatami gwoździ, gdzie Rozpięty
Konając zwisał, w pustce pyłów leży;
Z ścian, cegłą krwawych, lecą muru szczęty...
Lecz już nie ocknie się dzwon z starej wieży.

I słucham w ciszy. Zda się, kościół gada
Modłami tych, co dawno przeszli tłumem,
Jak zagrzebana w piaski muszla blada,
Co płacze morza umarłego szumem.

PALEC LOSU.

Komnata ciemna; okno wpół rozwarte
Chwyta mrok w zwoje firanek i błyska;
Kuszcz ze słowikiem trzyma w dole wartę,
Lecz słowik umilkł. Słucham... Północ blizka.

Ktoś stuka we drzwi. Cisza. Nawet słychać
Za oknem szelest skrzydeł nietoperza,
Jak szmer ciemności, co się zdaje wzdychać
Aż do gwiazd niebem i o mnie uderza.

Ktoś stuka we drzwi. Jakieś rytmy zgrozy
Zwolna, cichutko przez komnatę biegą;
Bluszcze za oknem wiszą, jak powrozy,
Co strach krępują i komnaty strzegą.

Nad moją głową blady kwiat zawisa
I, jak zwierzenia, woń poufnie roni;
Daleka fala lśni, jak wzrok tygrysa;
Mgły przechadzają się, jak sny, po błoni

Myśl w dziwnym trwogi gubi się odmęcie...
Ktoś stuka we drzwi. Zamknione podwoje
Drżą od łoskotów cichych, jak dotknięcie
Snu albo ducha... i drży serce moje.

Nagle przedemną, jak w śmierci godzinie,
Gdy dusza z trwogą po przeszłość swą sięga,
Aby ją zebrać, tęczą się rozwinie
Olbrzymia życia minionego wstęga.

I w jednej chwili, strasznej, jak konieczność,
Przeżywam wszystkie upadki i wzloty,
I całą przeżyć i przemyśleń wieczność,
I całe piekło szałów i tęsknoty.

Wiem, że tam niema nikogo, -żem złudzon;
Struchlałe usta nie wydają głosu;
Serce ustało, duch niemocą strudzon...
A jednak we drzwi stuka... palec losu.

HARFA TRUDU.

Cudowna harfa trudu i ofiary,
Rytm wniebowstępny pieśni trosk weselnej,
Moc pyłków złotych, co się rwie w bezmiary,—
Pracowny gwarem w jaśń i mrok ul pszczelny.

Noc sieje ciche blaski i pieszczoty
Na ów świat wielkich obowiązków mały,
Na słodkie gniazdo matki ula złotej,
Gdzie współharmonje będą wiecznie grały.

Usnęły lipy, ukrzepione rosą;
Czar snu się iści, niby cud swobody;
Ul wiecznie czuwa, bo mu pszczoły niosą
Promienie słońca, przemienione w miody.

CIEŃ SIEROCTWA.

Szła i za sobą cień sieroctwa wlekła
W las ów omszony, mając krzyż na wiano;
Ogniki, jakby drogowskazy piekła,
Pląsały wkoło, łudząc obłąkaną.

Szlak był znaczony krzyżem lub mogiłą;
Trzęsły się obok smugi kit ajeru,
I każde drzewo nad nią pełne było
Troski gniazd wiecznej i cichego szmeru.

Nie miała tylko ta sierota gniazda...
Las się rozsrebrzał tu i ówdzie brzozą;
Z poza drzew błysła jakaś dziwna gwiazda;
Mgły na swych skrzydłach rozmarzenie wiozą;

A łąki w dali grają, jak uśmiechy...
Spojrzała w górę, gdzie łuk mlecznej drogi,
Jak gdyby cząstka złotej świata strzechy,
Wołał ją w dworu niebieskiego progi.

I wyciągnęła ręce — w niebie szukać
Opieki wiarą, co ból opromienia,
Jakby modlitwą do drzwi złotych pukać,
Zawartych na klucz śmierci i milczenia.

Las zaszeleścił; zda się, każdym liściem
Wziął złote struny z jakiejś harfy złotej
I zagrał w ciszy, jak przed matki przyjściem,
Melodją sennej skargi i tęsknoty.

I rozpromienił się ów las radośny,
Jak o świtaniu zórz radością ranną,
I zeszła z nieba Śliczna, jak kwiat wiosny,
Z dziecięciem Jezus... „O, Najświętsza Panno!“

I zeszła ku niej i na skroń sierocą
Złożyła ręce, niby dwa promienie,
Patrząca w twarz jej z taką słodką mocą
I tak litośnie przez łzy i cierpienie.

„Znajdziesz skarb wielki u stóp dębu tego,
„Skąd szlak zawraca prosto już do Boga;
„Grobowe głazy skarbu w lesie strzegą
„I cicha tędy, jak sen dziecka, droga.“

„Najświętsza Panno!“... Schodzi mrok na mszary,
Jak gdyby niebo złote się zawarło;
Dwa głazy obok, dąb się chyli stary,
Las szumi cicho, szumi nad umarłą...

PATRZ, JAK POGODNIE...

Patrz, jak pogodnie Ci pod skrzydłem kruczem
Tej chmury, którą wichry wnet pochwycą!
Grom zakołatał w niebo złotym kluczem,
Po nocy sobie świecąc błyskawicą,
I zniknął... W oczach Twych się jeszcze pali
Odbicie gromu... Chmury poszły dalej.

Patrz, jak pochmurnie Ci pod złotą władzą
Gwiazd i patrzących bardziej oczu ludzi!
Błyszczące w niebie świadki cię nie zdradzą,
Lecz oczu, które skryta złość ostudzi,
Lękaj się bardziej, niż połysku stali...
Cyt! gwiazdy zgasły... ludzie poszli dalej.

LIRA.

O, drzewo śpiewne! grasz mi pieśń uroczną,
Gdy się zaplącze podmuch w Twe warkocze,
A mgły z jutrzenką na Twym wianku spoczną,
Kroplami rosy drgające, przezrocze.

Grasz mi pieśń mocną, kiedy w Tobie słychać
Westchnienia burzy, co, nim wdal pomknęła,
Tu będzie liściem potarganem wzdychać
I szumieć śpiewne wiosny arcydzieła.

I lubię słuchać, patrząc w mrok, o drzewo,
Twej przepojonej falą dźwięków liry,
Gdy spływasz na mnie liści-strun ulewą,
A noc otrząsa na skroń gwiezdne kiry.

Wtedy na strunach Twych listkowych wiszę
Muzyką duszy, czerpiąc z dźwięków zdroja,
Co w tobie płynie, roztapiany w ciszę,
Pieśń serca mego... biała brzozo moja!...

KRZAK SPIEWAJĄCY.

„Kiedy słowikiem krzak zaśpiewa róży,
Powiem Ci „kocham!“ przed księżyca przyjściem;
A kiedy piosnka znowu się powtórzy,
Dam pocałunek Ci... różanem liściem;
A kiedy róży listki się nastroją
Na pieśń słowiczą znowu, będę Twoją.“

„A jeśli więcej jeszcze będzie pieśni?
To od początku od „kocham!“ zaczniemy,
Aż się maj cały jak melodja prześni.
A jeśli słowik czasem będzie niemy?
I wtedy rytm nasz nie dozna odmiany.“
. . . .
Sto razy w maju śpiewał krzak różany.

O N A.

Gra źródło, niby szklanna harmonika,
Po drodze srebrne zabierając echa...
Tam ją czekałem w ciszy u ponika,
Gdzie noc gwiazdami z wody się uśmiecha.

Tam wyszła ku mnie z gęstwi kalin, biała,
Z pod ciemnych koron olchowego liścia,
I w bzach, szepcących baśń wieczorną, drżała
Wstydliwie jakby kryjąc wdzięk u wnijścia.

Tam lekką stopą wbiegła w szmery fali,
Igrając w strudze senną blasku chwilką,
I znikła... Źródło popłynęło dalej...
To była pierwsza jaśń księżyca tylko.

W CICHYM SADZIE.

Szła, pokazując twarz śmiertelnie bladą,
A przed nią wiatr się tarzał w traw wezgłowiu
I, jako ścieżka, którą duchy jadą
Na gwiazdy, wśród drzew grał promyczek nowiu.

Oploty krucze obwiły jej głowę,
Jak chmura, pełna wężów i błyskawic,
Płonęły żywiej wargi purpurowe
I jeszcze jaśniej błyszczał wzrok wśród mgławic.

Szła, depcąc stopą traw i blasków cuda,
Skróś bluszcz, co wkoło gibką falą pnie się,
Jakby za rękę wiódł ją sen, a złuda
Znaczyła drogę w pełnym cudów lesie.

Przed nią, jak wizja nieba gwiaździstego,
Staw lśnił obrączką pośród trzcin promienną,
I brzegu olchy czarnoksięskie strzegą,
Gdzie Ukochany skroń położył senną.

On śnił, On czekał jej pod liści chmurą;
Tam z szeptem słodkim skargi czy zaklęcia
Na jego szyję padła warg purpurą,
Krew ssąc z uśmiechem dziwnym wniebowzięcia.

Aż skonał z twarzą bladą niby chusta,
Jęk tylko rzucił w ciszę nocy głuchą...
A potem długo całowała usta
I oczy zgasłe, szepcąc coś na ucho,

Jakby błagała u zmarłego łaski,
Jakby ze skargą tuląc się miłosną...
A sad, jak czara, w gwiazd oprawna blaski,
Był aż po brzegi przepełniony wiosną.

ŚNIĘ ALBO MARZĘ.

Śnię albo marzę, bo w gasnącem oku
Snów majaczeją coraz bledsze cienie...
Opodal puszczyk, dziwny płaczek mroku,
Jęknął i rozwiał się, jak duch, w milczenie...
I tylko w górze gwiazd zaduma wisi,
A w krąg mgły chodzą, jak duchowie cisi.

Sen albo mara z chmur srebrzystych wełny
Ku niebu bije w bezdeń szafirową:
To obłok, drżącym w mgle księżycem pełny,
Jak krwawa misa ze Świętego głową,
Nad duszą moją i nad łanem w ciszę,
Jak zaświatowa wizja się kołysze.

PROMIENNA ŚCIEŻKA.

Ta wyłamana w ścianie boru łąka,
Przez którą wchodzą księżyc i marzenia,
A pieśń słowicza w krzach się cicho błąka,
Promienną ścieżką była mi wśród cienia.

Tam, zasłuchany w blask, jak w harfę cudu,
Gdzie struny ciszy we mgle drżą płomienne,
Z dziecięcą wiarą i natchnieniem ludu
Królewstwa złudy budowałem senne.

Tam wychodziły do mnie z głębin boru
Przeczyste zjawy wdzięczną Bóstw drużyną,—
Tam brzmiał, jak dzwonek niebieskiego dworu,
Śmiech, co upaja, jak młodości wino.

ŚMIERĆ.

I oto przyszli do cichego sadu
Uwiecznić życiem śmierć w obliczu wiosny,
Wśród ziół i puchów srebrnych wodospadu,
W symfonji szałów długiej i radosnej.

Bóg, jak w zwierciadle cudu szczerozłotem,
W nich się przeglądał, gdy ich duszę tworzył
I zamknął w ciała, a nie mogąc potem
Nic piękniejszego stworzyć, ręce złożył.

Tam na atłasie traw ich śliczne głowy
Śnią, ukojeniem wniebowzięte cicho,
A na ich licach promień księżycowy
Cudowną blasków rozpostarł się pychą.

I kołysały liście drzew nad nimi
Szumami jakąś baśń promiennej chwili;
A w górze motyl nocy wiał olbrzymi
I pokazywał sobą śmierć... I śnili...

W TYM LESIE DZIKIM...

W tym lesie dzikim, brnąc przez traw rozłogi,
Gdy zmilkły w sosnach śpiewne dnia chorały,
Złorzeczę gwiazdom i, niepomny drogi,
Wołam, by echa głos mój powtarzały.

I widzę nagle, jak skróś mgły zawoje
Płomienny księżyc z za konarów sosny,
Cieniami łamiąc cały las na dwoje,
Zagląda do mnie, wielki i litosny.

PŁOMIENNY PAJĄK.

Przepastne, złote sennych pól milczenie,
Gdzie się mgła z światłem pomięszana błąka.
Olbrzymi księżyc począł snuć promienie,
Wieszając w chmurkach je, jak sieć pająka.

I w blasków jego czarnoksięstwie lasy
Spłonęły nagle, rzeka ognie toczy,
Buchają łąki płomieniami krasy,
Zabłysły stawy, jak uroczne oczy.

I jakiś szelest począł się na łanie,
Szept jakby duchów, jakby głos tajemnic;
I słowik zabrzmiał wdali, jak wołanie
Majowej nocy, obnażonej z ciemnic.

Jak czciciel ognia, porywany szałem
W magiczną, ślepą moc czarnoksiężnika,
W cudowną gwiazdę ostry wzrok wpijałem
I męką serce myśl paliła dzika:

Mnie się zdawało, że z niebieskich pował,
Co są marzeniem szafirowem ziemi,
Płomienny pająk ku mnie w pierś zstępował
I ssał mi duszę usty płomiennemi...

KWIAT ŚPIEWAJĄCY (*).

Las porozwieszał w mgle konarów sploty
Nad zadumaną łąką, jak marzenia;
Z perłowej rosy traw wybucha złoty
Ku gwiazdom sennym cichy kwiat z płomienia.

Czarna śmierć idzie z tajemniczej strony,
Skąd wybuchają, jak kwiat złoty, zorze...
Las zadrżał, każdym liściem przerażony, —
Falami szmerów zadrżał las, jak morze.

I popłynęła pieśń w przestworza cicha,
Słowicza, jakby pieśń, podana echu
Z gorejącego w ranny zmierzch kielicha,
Łez pełna jakby i srebrnego śmiechu.

Czarna śmierć idzie, czarną szatą spływa
Na las i grozę sieje, niby ziarno ...
I wzejdą straszne mrocznej siejby żniwa;
Czarna śmierć idzie, wieje chustą czarną.

Kwiat złoty śpiewa, noc dokoła mroczy,
Świt gdzieś na szczytach drzew struchlałych drzemie;
Jak czaty, w lesie błyszczą wilków oczy...
Kto uszczknie złoty kwiat? Kto zbawi ziemię?!

Czarna śmierć idzie! ...

(*) Legienda bretońska.

WIZJA.

Tę, którąm kochał, i Tę, której niema,
Wśród kwiatów życia przecudowną szałem,
Z krainy, gdzie sen straż nad duszą trzyma,
Zaklęciem serca świętem wywołałem.

I przyszła do mnie tak, jak była w grobie,
Jak ją widziałem białą i umarłą...
Był obrzask ranny, taki, co ma w sobie
Zórz i gwiazd cząstkę... Okno się rozwarło;

Dokoła pachły dusze kwiatów — wonie. —
I w niemej jakiejś gubiąc się podzięce,
Ku zjawie drogiej, widząc Ją w koronie
Cichego światła, wyciągnąłem ręce.

I jąłem myślą pytać Tę, co drżała
W blasku zbudzonej siostry gwiazd—jutrzenki,
Jak promień sama rozebrana z ciała,
O zaświatową istność i o męki...

I jąłem myślą pytać Tę — Minioną,
Co, jak rusałka fal nieskończoności,
Przybiegła nęcić na ukojeń łono,
O szczęście duchów — rajskich ziemi gości!

I nagle dusza Jej, w blask rozwidniona,
Jak kielich kwiatu, z srebrnym tym szelestem,
Co w ciszy nocnej i nicestwie kona,
Szepnęła duszy mojej tylko: „Jestem!“

GDY NOC PIERZCHAŁA...

Gdy noc pierzchała, to jej blade strzępy
Jęły się zwijać i kryć się w bezmierza,
I najmroczniejsza część wśród pustej kępy
Zwiła się w kłębek szary nietoperza.

I wszelkie głosy jej umilkły echem,
Co w górach płacze i w dołach rozpacza,
I najsmutniejsze dzikim grozy śmiechem
Stężało w pustce w ciemny kształt puhacza.

O PRZEDŚWICIE.

Nad moją głową przemknął kruk, jak strzała,
Nad wierzchy lasu rozjaśnione wzbity;
To noc, uchodząc, zda się, wyrzucała
Ostatni z łona swego mrok w błękity.

Dokoła chaos liści i konarów
Obwijał cieniem jeszcze pni podnóża;
Lecz wzwyż gałęzie rwały się nad parów,
Jak gdyby w szczytach drzew zastygła burza.

I była cisza przedświtowa wiosny.
Nad moją głową, skróś mgły ciemnej nawał,
Przeleciał gołąb srebrny i radosny,
Jak pierwsza cząstka tego dnia, co wstawał.

OBLICZE.

O, widzę jeszcze piękne to oblicze
Nieśmiertelnością jakichś wielkich przeżyć;
W źrenicach głębie dziwnie tajemnicze;
Uśmiechy każą w ból bezdenny wierzyć;
Zastygła w rysach już melodja smutku
Gra jeszcze koło ust tych — pocichutku.

Oblicza takie, wyrzeźbione duszą
I jakby pełne serdecznego krzyku,
Ujrzane w tłumie — wyobraźnię kuszą,
Jak owe zgłoski, ryte na pomniku
W nieznanej mowie; choć się w pamięć wżarły,
Nic nie chce mówić język już umarły.

SERCE TWOJE.

Jest wiele ścieżek w cichym szczęścia sadzie,
A wszystkie kończą się na sercu Twojem.
O, serce ciche, nie podane zdradzie!
O, serce, drżące wiecznym niepokojem!

O, serce czyste, czystych żądz ołtarzu,
Gdzie czczą wielkiego, co ukochał Boga,
Kwitnące w mojej wiosny wirydarzu,
Gdzie nie stąpiła świętokradzcy noga!

O, serce wierne w wszystkich piekłach życia,
Golgoto wieczna wszystkich mąk z kolei,
Na wszystkich falach bólu i rozbicia,
Na wszystkich łąkach wiary i nadziei!

OGNISTY PIEC.

Pan tych skazanych na miłości szały
Do ognistego kazał wrzucić pieca,
Gdzie serca przed Nim w piekle żądz gorzały,
Gdzie, jak oprawca, ognie maj roznieca.

Jak dym, buchnęły nagle nad ich głową
Obłoki białe puchu srebrzystego;
Dokoła w górę strugą purpurową
Kielichy wonne pączków skrami biegą.

I porywani tak płomienną falą
Weselnych żarów, gorejący szałem,
Skazańcy Pana wielkim głosem chwalą,
I psalm rozlega się w podniebiu całem...

W Ą Ż

Jeszcze w dzieciństwa upojeniu świętem
Tyś wpełzło do mnie, jak wąż chytry, życie,
Pierś obwijając ślizkim gadu skrętem
I w swych przegubach mię dusiło skrycie!

Tyś, łuską tęczy grając w słońca blasku,
Skroń mi stroiło w błahą złud koronę,
Gdym w duszę ranny tarzał się na piasku
I czuł Twe żądło, w sercu zatopione!...

Ty, coś wyśmiało skargi me najkrwawsze,
Szyderco z każdej żądzy, duszę żrącej!
Ty, wszechobecny kacie, czujny zawsze!
Ty, wężu, we mnie wiecznie śpiewający!

O WSCHODZIE.

Zabłysły w niebie wzgórza gorejące,
I promień pierwszy był, jak złota droga,
Po której wzbite niebokrężne słońce
Wschodziło, niby cień samego Boga.

W czeluści jarów jeszcze zaczajona
Noc nad wodami, co w przepaściach warczą,
Jak gdyby z głębin brała świat w ramiona,
Przeciwko światłu broniąc się mgły tarczą.

Aż znikła w blaskach, co się słońcem palą
I na zagłębia do dna jarów biegą,
Postokroć każdą powtarzane falą,
Jak cudne strofy psalmu płomiennego...

RANEK.

Był ranek taki, jakby dłoń kojąca
Powoli z nieba usuwała cienie;
Czas się rozkładał za wskazówką słońca
Na złote świty, zorze i promienie.

Świat się rozpuszczał, słońcem malowany,
Na mgły i cisze, dźwięki i kolory;
A dusza w siebie brała te odmiany,
Jak świat ów barwny i jak czas ów skory.

PROMIEŃ.

Już był na drzewie wśród listkowych gwarów;
Na kalenicy siadł, omusnął trawę,
Do rosy zajrzał, wbiegł ze strugą w parów,
By tęczą z dzieł swych zdać przed słońcem sprawę.

I odpocząwszy na szerokim liściu,
Otworzył lilji wodnej biały kielich,
Uderzył w dzwonki i o swojem przyjściu
Dał znać w pasiece matce ulów pszczelich.

A gdy obejrzał wszechsłoneczność całą,
Nad każdą troski chyląc się ostoją,
I do mnie zakradł się ze złotą strzałą
I z okna strzelił prosto... w duszę moją.

ŹRODŁO.

W obrączce kalin, w srebrnej wierzb zaciemi
Tętniące źródło tai się głęboko
I, jakby biorąc smutek z serca ziemi,
Ku niebu zwraca zachwycone oko.

I widzi źródło, że tam, w jaśni złotej,
Jak ptak srebrzysty, zbywszy mroków kiru,
Drżąc od słonecznych szałów i pieszczoty,
Waży się w blaskach chmura wśród szafiru.

U STÓP MYCH.

To była chwila, kiedy słońce jeszcze
Nie zeszło, a już góry mówią o niem,
Gdy w zamyśleniu fal drżą świty wieszcze,
A w mgłach zaduma świetlna idzie błoniem.

U stóp mych grała jakby czarów baśnia:
Z mgły wypływały zwolna blade kształty,
Jak rysy twarzy, co się wciąż wyjaśnia;
Słyszałem z głębin fal spienionych gwałty.

Kwiatów doliny mnie upajał zapach.
Z pian nad potokiem głaz wyciągał szyję,
Jak potwór z baśni, co ma smoka w łapach,
A smok się skrętem wzdłuż doliny wije.

Porwany gór tych wniebowstępnym hymnem,
Oddechy czując głębin tych krzepiące,
W tem upojeniu barw porannych zimnem
Padałem duszą, jak płomieniem, w słońce.

KRZYŻ

Z doliny, jako sen w górach podniebnej,
Widziałem Ciebie, tam, na skalnym wyżu;
U stóp Twych wionął w mgłę wodospad srebrny,
A Tyś lśnił w słońcu, biały Boga krzyżu.

Ku Tobie góry niosły korne szczyty...
Wtem przyszła chmura... Krzyżu, mnie się zdało,
Że na ramionach Twych, jak Bóg przybity,
Płomienne słońce zwisło i konało.

Blask się z Twych ramion sączył, jak krew Boża,
Purpurą krasząc szczyty gór pochmurne,
I zwolna spływał w mrok do ich podnóża,
W dolinę skalną, jakby w świętą urnę.

CZARA.

Jest droga czara, pełna łez i sromu;
Tło jej przecina wewnątrz rys z płomienia,
Jak gdyby ciosem wypalony gromu;
Wkrąg wąż z rubinu czarę opierścienia.

Los ją rozbija, lecz wciąż napój święty
Wre w niej i w każdej krwawi się iskierce;
Na dno, jak gorycz, opadają męty...
Z tej czary pije tylko Bóg: to serce!

WIOSENNY RANEK.

Oddechy mgliste dolin, pól westchnienia,
Tęcze słonecznych z falą zalecanek,
Modlitwa szczytów, niby hymn z kamienia,
A nad tem wszystkiem błękit — oto ranek!

Melodje głosów, czary aromatów,
Barw rozpasanie, ziół symfonja rosna,
Jak gdyby słońce, co nasyca świat ów,
Rozsypywało się wszędzie: to wiosna!

WRÓŻKA.

Promienna wiosna, wróżka wielkiej sprawy,
Chodzi po łanach, przyszłych żytnim chlebem;
Jak modre oczy, wdal mrugają stawy,
Z nieskończonością rozmawiając... niebem.

A wieś chat bielą zda się słońce chwyta;
Wiatr mówi sadom, by szumiały wiośnie;
Tkanica łąki kwietnej rozpowita
Dzwonków błękitem odbrzmiewa radośnie.

Wszystko to wchodzi oczyma do duszy
I w harfie duszy ma struny grające;
Wszystko nanowo harmonją się wzruszy:
I dźwięk, i promień, i błękit, i słońce.

WYSPA.

Tak płynąc z biegiem fal, wyspę ujrzałem:
Jak gniazdo wiosny, wstała z rzecznej piany,
Błyszcząc skał bielą i kaskad kryształem.
Szczyt jej, kwiatami ku słońcu podany,
Nęcił wśród nurtu wieczystych niesnasek;
Bluszcze obwiły jej srebrzyste łono;
U stóp jej pełza złotym wężem piasek,
A wkoło błękit i przepaście zioną.

Tak dziewczę z konchy pian wynika wdziękiem,
Zebrawszy światło z fal, jak złote rybki;
Włosy ją wężów obwinęły pękiem,
W przeguby złote biorąc kształt jej gibki;
Ramion i piersi lubieżne wygięcia
Rzeźbią się w słońca płomiennym uśmiechu;
W oczach dziecinnych słodycz wniebowzięcia,
A usta drgają pożądaniem grzechu.

CO MÓWI PIEŚŃ.

Żelazną rudę trosk, co zwą się życiem,
I złoty kruszec cudnej serca męki
Potęgą woli, niby młota biciem,
Przekułem w strofy, przetopiłem w dźwięki.

I na kowadle losu strofa bita
Ma w sobie wszystko, com odczuwał wcześniej:
Żelazo życia w każdej nucie zgrzyta,
A złoto uczuć jest melodją pieśni.

SADZAWKA.

Słońce, jak gdyby mgłami nadąsane,
Blasków purpurą mieni się w sadzawce,
A nad nią wicher huczy na odmianę
I liście kwiatów nosi, jak latawce.

I ma sadzawka jakby twarz wrażliwą,
I pokazuje gniew, co chce wybuchać;
Ma prędkie usta — fale, rwące żywo,
Jak te wymówki, które trza wysłuchać.

KIEDYŚ.

„I znów spotkamy się, gdy ranek wstanie
Z przebudzeń zorzy i omamień nocnych,
Gdy szał nas porwie, jak wichr na otchłanie,
A dusza będzie pełna uczuć mocnych...
Tylko przygotuj mi na powitanie
Płomienne słońce i kwiat drzew owocnych!“

Ułudy ranków i sny godzin biegą,
I z nich tkanicę swą niepamięć plecie;
Mijają słońca te, co wiosen strzegą,
Blask w białe sadów przetapiając kwiecie...
. . . .
Lecz nie wróciła już do serca mego:
Spotkania placem była młodość przecie.

Ł A N.

Łan, a kłos każdy niby promień błyska,
Grające szmerem złotych fal otchłanie,
Płomieni kłosnych źródło i kołyska,
Ognistych maków krwawy ślad i drganie.

A gdy się wzburzy łan pod wichru chłostą,
To bucha taką złotych strzał nawałą,
Jak gdyby ciskał je ku słońcu prosto,
A słońce z nieba — łanem odrzucało.

Wśród mgły połysków drżą, tęczując w szale,
Tańczące sfery much i pszczół nad glebą;
Łan, a zielone miedze biegą w dale,
Pod błękit, — zda się, pokazują niebo.

BÓG W ROZMARZENIU...

Bóg w rozmarzeniu Ciebie taką stworzył,
W twarz rzucił róży jutrzenkowej bladość,
W oczy dwa ognie, wzięte z słońca, włożył,
A ustom zlecił szerzyć wiosny radość—
I tak stężałej w piękno myśli Bożej
Rozkazał wschodzić w życie nakształt zorzy.

I tak się w Swojem dziele rozmiłował,
Że dał Twej duszy wieczny czar dobroci,
Jak rąbek modry swego nieba pował,
Jak nimb swój, co się sercem Twojem złoci,
Dał miłość, jakby Twem jestestwem grały
Harmonje nieba i duchów chórały.

CORAZ WESELSZA...

Coraz weselsza i coraz mniej smutna,
Coraz wrażliwsza na promieni chybkość,
I oto zwiewne odrzuciła płótna
I okazała kształtów czar i gibkość.

Białe ramiona ku niebu się wznoszą,
Jak morze piersi piętrzą się wezbrane,
I na drgającem łonie Jej rozkoszą
Zawisło słońce, jakby rozkochane.

Przepięknem ciałem nęci, jak kochanka,
Boską nagością Jej — oczy się pasą...
. . . .
Tak i Ty, Ziemio, kiedy w słońcu ranka
Odrzucisz z siebie mgły i błyśniesz krasą.

E C H O.

Aleja starych, ciemnych lip? A dalej
Przedsionek nieba — dom pod starą strzechą?
A bliżej mostu łuk i rozgwar fali?
Ja... to... widziałem niegdyś! Tak... to echo.

Promienie słońca do alei weszły,
Zajrzały w okna, wpadły do potoku;
Cały poemat doby, jak sen przeszłej,
Z tem słońcem rannem majaczeje w oku.

Tak, jak i niegdyś, drzewa zaszumiały,
Jakby litanją rzesza śpiewająca;
Lecz już nie widać tej prababki białej,
Co szepcąc pacierz szła w promieniach słońca.

Tak samo most zwisł łukiem staroświeckim,
Tak samo woda srebrną gra uciechą;
Może to niegdyś widział pradziad dzieckiem,
A w mojej duszy dziś zagrało echo.

Jakby nade mną szepce ktoś i wzdycha,
I głos tak znany, niby słyszan wczora...
Tak, ten dom stary? Ta aleja cicha?
Ten most? te fale? i ta ranna pora?

RYTMY BORU.

Wszedł dzień do boru, jak król uśmiechnięty,
I mnie na ucztę wielką światła wzywa;
Jak sługi króla, w jakiejś ciszy świętej
Stroją się sosny w srebrne mgieł przędziwa.

A jedna, wyższa, w blask już upowita,
Na skraju stoi, żywa ulem pszczelnym,
I z nieba słońce konarami chwyta
I cała szumem złoci się weselnym;

I jest, jak strzała, w niebo wyrzucana, —
Zda się, już płynie w głębie tajemnicze,
W przepastny błękit słonecznego rana,
Rytmami szumów... a ja rytmy liczę.

NIEŚMIERTELNOŚCI ZNAK.

Nieśmiertelności wciąż płodnego życia
Znak i obfitość, wieczna serc uciecha,
Miłosnych szałów słodkie rozpowicia,
Grające wiecznie twórczych mocy echa...

Gołębnik wznosi się nad drzewa szumne,
Jak gdyby pełna srebrnych duszek chata,
Wszczepiona w lśniącą jak promień kolumnę,
I szlakiem ciszy, zda się, w słońce wzlata.

Wtem z góry jakby chmurek białych stada,
Lub się jak gwiazdy odrywają srebrne,
I cała rzesza na gołębnik pada,
A wszystkie takie jasne i podniebne.

CO MOWI OKNO.

Bluszcz kapie liśćmi z strzechy; z poza bluszczu
Ciekawe oko dworu — okno patrzy.
Ścichł śpiew w ogranym słowikami kuszczu;
Zmierzch południowy wśród drzew coraz bladszy.

I widzi okno, jak skróś trawy zieleń
W perłowych rosach chodzi słońce z tęczą;
A nad nią, pełna srebrnych światła wcieleń,
Drży brzoza w łunach; zda się—listki brzęczą.

I widzi okno, jak błękitu skrawki
I białe żagle chmur srebrzonych rana
Wyjrzały z poza sennych trzcin sadzawki,
Co łabędziami marzy kołysana.

Wtem pod poszyciem strzechy staroświeckiem
Zabłysło okno, jakby rozjaśnione
Tą najpiękniejszą duszą dworu — dzieckiem,
Co śmiech skróś bluszcze rzuca rozpuszczone.

KWIATY BIAŁE.

Jest chwila, kiedy błękit mgłą się pławi,
Gdy w równej mierze stoją — blask i cienie;
Wtedy z przepaści, co się słońcem krwawi,
Spływa na obszar pól i wód milczenie.

I żaden powiew, ani czyje pióra,
Ni jaka fala ciszy tej nie niesie;
Wszystko się staje tak, jak mgły tej chmura,
I wszystko w srebrnym gubi się bezkresie.

Ni jakiej barwy, ni żadnego kształtu, —
Wszystko opływa w nieskończoną mglistość;
Zda się, ze świata rzeczy, co się stał tu,
Wychodzi na jaw inna oczywistość.

Dusze się w uścisk bezcieleśnie chylą,
Sny odrywają się od serc i błądzą,
Przeszłość się staje czasu snem i chwilą,
A życie wiecznych prawd bezkreśną żądzą.

Wtedy w te cisze, jakby już pozgonne,
Na fale dziwne, świetlną mgłą nabrzmiałe,
Wschodzą bezbarwne, czyste i bezwonne,
W nieskończoności siane — kwiaty białe.

OTCHŁAŃ.

Tam poszarpane zbocza skał tych w szczerby
Nad przepaściami jeżą się i kłębią:
Są to wieczności niezmazane herby,
Które odciska czas — ów pan nad głębią.

Nad brzegiem wisi, jakby gniazdo sępie,
Zamczyska stęgły mur, jak głazu kawał;
Zda się, mrok wieczny, czając się w ostępie,
Poczernił mur ten, gdy z przepaści wstawał.

I, pochylony nad oazą mroku,
Na wrębie, co się wiecznie źródłem rani,
Słyszę w tych szumach, wrzących z dna potoku,
Rozkazujący, twardy głos otchłani.

I widzę blizny skał — ów ślad stuleci,
Jak lwich pazurów znaki, w głazie ryte;
A słońce, patrząc w dół, im górniej świeci,
Tem niżej spada, w falach dna odbite.

W MGLE SŁONECZNEJ.

Sklep w słońcu zwisa, niby troska Boża,
Zmieniona w błękit nad pogodną ziemią;
Zadumą cichą złocą się przestworza;
Marzeniem sennem widnokręgi drzemią.

Na niebie, pełnem duszy i słodyczy,
Gdzie słońce blade tkwi, jak stróż na warcie,
I różańcami blasków swój czas liczy,
Jest mgła, jak skrzydeł białych rozpostarcie.

Jak widma, wkoło majaczeją drzewa
Nad kryształowym snem milczącej wody,
I każdym listkiem złoty dreszcz powiewa,
A kuszcze w dali srebrzą się, jak trzody.

O, wtedy jakieś moce przedstworzenne
Dokoła grają tą ogromną ciszą,
Sny zjawów przyszłych wiją się promienne
I kształty świata, co się stanie, dyszą.

ODBLASK BOGA.

Widziałem w Tobie jakby odblask Boga,
Odsłoneczniony w cudnym wdzięku duszy,
I żarła serce me bezmierna trwoga,
Że Ci nadmiarem ducha pierś się skruszy.

Wzrok Twój miał płomień, pochwycony z nieba,
Kształt Twój w melodję łamał się przepiękną;
Aby tak widzieć, tylko wierzyć trzeba,
Jak ci, co, w ołtarz zapatrzeni, klękną.

Dziś me relikwje tylko pył znieważa;
Odblask się rozbił na iskierek mnóstwa...
O, serce, Tyżeś to cząstką ołtarza?!
O, duchu, Tyżeś to promieniem Bóstwa?!

JASTRZĄB.

Tam, w górze, krąży pod przyłbicą słońca
Ptak, przejmujący wiecznem hasłem trwogi,
I pióry chwyta blask, i niebo trąca,
I cieniem w pola rzuca ślad swej drogi.

Wtem od błękitu nagle się odrywa
W przepaściach nieba, z fali chmurek modrej,
Jak piana srebrna i jako mgła siwa,
I spada na dół, na łan zboża szczodry.

Rzut szponów nagły, jakby szloch dziecięcy,
Skrzydeł ofiary w złotych kłosach bicie...
I znów o jeden ból na ziemi więcej,
I znowu tylko mniej o jedno życie.

DUSZA TWOJA.

W zakresie ciasnym, w wątłym kształcie z gliny,
Kropelka fali światła kołysana,
Trwa dusza Twoja, stając się przez czyny,
Z wieczności morza pryskająca piana.

Gdy spełnisz wielki czyn lub wielkie słowo,
To gra tej fali w Tobie odblask święty;
Gdy zbrukasz serca szatę kryształową,
To w Tobie burzą się tej piany męty.

DUSZE — KWIATY.

Niepoznawalne, jednak poznawalne,
Kwitną w nas dusze, jak Boskości ziarno,
Kwieciem tak świętem, jak modlitwy mszalne,
Z uczynków dobrych niosąc woń ofiarną.

I Bóg ten, niegdyś ziemskich pól wygnaniec,
Przeczyste kwiaty dusz do serca zbliża
I przecudowny niza z nich różaniec,
Oparty czołem o ramiona krzyża.

BAŚŃ DZIADA.

Dziad w srebrnych włosów jaśni i obrzasku,
O długiej brodzie, co na piersiach świeci,
Jakby ciąg dalszy miesięcznego blasku,
Baśń opowiada, a słuchają dzieci.

Dziad już wyczerpał życie prawie do dna
I odpoczywa w pełnej pszczół pasiece,
A mądrość Jego, jak pasieka miodna,
A lipy słońcem płoną, jako świece.

„Jest wampir dziwny, co się krwią nasyca,
Im bardziej błękit wiosny świat weseli."
Słuchają dzieci; rozwarta źrenica,
Jakby z błękitem, błękitem się dzieli.

„Choć dzień gra kwieciem wiśni lub jabłoni,
Woda tęczowych snuje blask mamideł,
W perłowych rosach motyl barwy roni,
Ja...— słyszę zdala szelest strasznych skrzydeł.

On tu, już blizko, zaraz Go poznacie,
Do serc się Waszych ubożuchnych skrada!“
Struchlały dzieci; słońce drży na chacie,
I od ścian bije siność jakaś blada.

Czekają dzieci, wzrok łez błyska rosą,
Zastygły serca, — ledwo pierś oddycha...
Dziad się uśmiechnął; pszczoły miody niosą...
A wampir dziwny wciąż się skrada zcicha.

CHŁOPIĘ.

Cicho przez dale złotych pól przestrzenne
Wiła się, niosąc krzyż swój, miedzy wstęga,
A kłosy jakby niosły szumy lenne
Tej miedzy, co ma krzyż i nieba sięga.

Pod krzyżem onym, na tym kwietnym tropie,
Co miedzą bieży, jakby szlak tęczowy,
Zerwany z chmury, klękło małe chłopię,
Blask słońca biorąc złotym włosem głowy.

Leciały modły dziecka zbożnym łanem;
Przywarłszy piersią, dziecię w krzyż on patrzy:
To jakby wiosna ramieniem różanem
Ból obwinęła, u stóp krzyża padłszy.

DZWON — BLASK.

Szczyt wieży, krzyża płomykiem owiany,
Nad wielkim lasem gore w nieba toni,
I leci stamtąd dzwonu głos skróś łany;
A mnie się zdaje, że to blask tak dzwoni,—

Że, wypalając ślad swój przez zagony,
Dźwięki to złotem kłosów się promienią,
To wężem miedzy wiją się zielonej,
To falą chabrów, to maków czerwienią.

DUSZA SNEM WIDZI...

Dusza snem widzi i dusza snem słyszy...
Po wygładzonej ręką cudu fali,
Jakby na drogę dla bezbrzeżnej ciszy,
Płynąłem w łodzi dalej i wciąż dalej...

Nie było słońca, ani grały zorze,
Ni gwiazdy lśniły, jednak światło pała;
Może ta jasność szła od Boga, może
Wewnętrznym blaskiem dusza promieniała.

Nie słychać było szumu fal, ni mewy,
Niosącej cichy morza płacz do Boga;
Nie szły ku żaglom pełne trosk powiewy
I nie srebrzyła się za łodzią droga.

Tylko się niebo sklepiło u szczytu,
Tylko się wody perliły zwierciadła;
Bezbrzeżna błogość szczęścia i błękitu
Świat ogarniała i na duszę padła.

Serce się burzom i ciszom nie żali,
Pierś już nie kocha, ani nienawidzi...
Płynąłem w łodzi dalej i wciąż dalej...
Dusza snem słyszy i dusza snem widzi.

PIECZARA.

Przez otwór ciemny, niby lejek mroku,
Cisnąłem światło, jak grot srebrny, wbity
W pieczary łono — i zalśniły w oku,
Jak łzy przeszłości stęgłe — stalaktyty.

Przeszłość się zdała skalnem rumowiskiem
I próchnem głazów zwolna dogorywać;
Jak kłęby cienia, przebudzone błyskiem,
Z ścian nietoperze jęły się odrywać.

I słychać było w ciszy, jak dzwoniły
Krople spadając, niby pieśń miarowa...
I nagle, jako wielki krzyk mogiły,
Stokrotnem echem zahuczała sowa.

To jakby przeszłość westchnęła głęboko...
A tam, gdzie sklepi się pieczara szczytem,
Pod rzęsą kuszczów niebo, niby oko,
Już pozdrowiło z góry mnie błękitem.

O WIOŚNIE.

Tak mi z tą wiosną, gdy zapachną kwiaty,
Tak mi w tych barwach jasno nieskończenie,
Jak gdybym oddał krew jej na szkarłaty,
Przetopił ducha w fale i promienie.

Jakby to niebo, co się w chmurki plemi,
Było, jak łąka niezapominajek,
Rzeczywistością najcudniejszą ziemi,
A ziemia tylko najpiękniejszą z bajek.

CISZA I OCZY.

Jest taka cisza wielka i pogodna,
Że, kiedy rzucisz wzrok jak promień na dół,
To przejrzysz morze w głąb, jak serce do dna,
I zliczysz tropy fal, co złocą padół.

A jeszcze głębiej kwiaty morza kwitną,
Przepiękne kwiaty z bajki wśród roztoczy...
Lecz ich nie dostać pod falą błękitną,—
Taką mi ciszą i głębią Twe oczy.

BAZYLIKA.

Jak bazylika jaśni i milczenia,
Niebo błękitem o ziemię się wsparło.
Wysoko w górę biją jestestw pienia,
Jak głos, rzucany wzwyż przez dzwonne gardło;
A słońca blaski są, jak świetlna droga
Modlitwom serca, idącym do Boga.

Umilkły wichrów organy piorunne,
Ustały fali srebrno-pienne psalmy,
Mgły się w parowach pokładły całunne;
Srebrzyste chmurek tylko wieją palmy,
Tam, kędy pośród złotej gwiazd zamieci,
Jako monstrancja, wielkie słońce świeci.

BÓL MATKI.

Gdyby ból Matki i Jej modlitw wzloty,
Jej rozpacz święta i Jej trosk ogromy
Ścięły się w łuki strzeliste tęsknoty
I smutkiem stęgły w lilje, w świętych, w gnomy,
Powstałby taki kościół nad łez glebą,
Że krzyżem wieży ugodziłby w niebo.

Wtedyby, Boże, w przepaściach błękitu
Głosby Cię zbudził golgocki, znajomy;
Wiałyby żalem z gotyckiego szczytu
Łuki strzeliste, lilje, święci, gnomy;
I dusza Matki świeciłaby w żarze
Milczącym bólem przez okien witraże.

Ż N I W O.

Przyszli o brzasku żeńcy na łan żytni
I wśród fal kłośnych posadzili dziecko
Pod namiot z płótna, aż się rozbłękitni,
Aż o południu wrócą miedzy stecką.

I jęły sierpy latać żeńców tropem,
Niby płomyki, biorąc na ostrz kłosy,
Aż opadały, jak promienie, snopem...
A dziecię z kwieciem rwało tęcze rosy.

Odeszli żeńcy, i w ciszy świetlanej
Patrząc na złoto-kłośne Boga dzieło,
Dziecię uśmiechem swym złociło łany,
Potem płakało, a potem usnęło.

I główka mała z pod szarego płótna,
Oddana słońcu i kwiatom na wolę,
Łzami, co jeszcze w oczach drżą, przesmutna,
Niby mak krasny, różowiła pole.

I śniło dziecko, przygarnąwszy ziemię
Kwiatem do sercem bijącego łona,
Że na serdecznej piersi matki drzemie,
Że nie macocha, że matka rodzona,

Że oto niesie je, tuląc do siebie,
Jak niegdyś w onej pożegnania męce,
Że to nie słońce tak idzie po niebie,
Że nie promienie to, lecz matki ręce...

Oto je niesie w kraj wielki, umarły,
Z słońcem jak lampa gasnąca rozbitem...
Szeroko oczy dziecka się rozwarły,
Na wielką drogę wpatrzone błękitem.

Wrócili żeńcy. Miedza szeleszcząca
U stóp ich kładła trawy frasobliwa...
I oto w blasku płomiennego słońca
Przed nimi leżał... ostatni kłos żniwa.

DUSZA — PROMIEŃ SŁOŃCA.

Dusza, ku krajom tęskniąca nieznanym,
Łzą albo czynem musi bytu dowieść;
Promieniem słońca w Bogu załamanym
Przesmutną życia opowiada powieść.

I niesie promień słońca skróś ciemnotę
Bezmiary bólów, otchłanie goryczy,
I rozsypuje łzy przed Bogiem złote,
I tęczą krwawe czyny serca liczy...

I falą zwrotną wspomnień, jak doliną,
Mkną cząstki duszy do swojego zdroja,
Aż przez śmierć w Bogu zbiorą się i spłyną...
Gdzie jesteś teraz, błędna duszo moja?

MUZYKA MILCZENIA.

Drzewa, szelestem rozmarzone wiecznym,
Stały nad wody zielonym kryształem;
A mnie się zdało w milczeniu słonecznym,
Że jakąś dziwną muzykę słyszałem;

Że każde drzewo, każdy liść miał w toni
Rytm swój, co echem był rzeczy i cieniem.
A ich harmonja w sennej fal pogoni,
Choć niesłyszalna, wciąż grała milczeniem.

JEZIORO.

Ludne liljami wodnemi jezioro
I szmerne srebrnym długich trzcin szelestem;
Oczy me światłość od jego fal biorą,
A fale błękit niosą tu, gdzie jestem.

Obok mnie olchy ptakami szczebiocą,
A wierzby liśćmi, zda się, czerpią wodę
I światło słońca zbierają przed nocą;
Kaliny pędy wysrebrzyły młode.

Zajrzałem w głębie. W niebie i jeziorze,
Tu i tam, widać, jak wędrowce, suną
Wesołe chmurki; każda błękit porze
I słońcu srebrne pokazuje runo.

Spojrzałem dalej, jeszcze w dalszą stronę;
Już nie odróżniam wody od błękitu, —
Tak to jezioro niebem przesycone,
Tak niebo pełne słońca i dosytu.

I widzę w dalach — wodną tą płaszczyzną
Taki ognisty, wielki szlak się pali,—
Zdaje się słońcem wypaloną blizną,
Jakby Chrystusa duch szedł po tej fali.

WYSPA MOJA.

Marzeniem morza jesteś, wyspo moja,
Na fal krysztale falą kwiatów drżąca,
Jakgdybyś wyszła z srebrnych pian zawoja,
Jakgdybyś była córką snu i słońca!

Jak w dwoje ramion, miłością przytulnych,
Tak wziętaś w nieba i morza błękity,
Co grają cudnym rytmem blasków wspólnych
Hymn swój, na niebo i falę rozbity.

Dusze, od Bóstwa odbite promienie,
Przez Ciebie idą, nim się zaklną w ciało;
Przez Ciebie płyną piękności strumienie,
Rzucając osad swój na wieczność całą.

Tyś snem o szczęściu, co zgasło, lecz będzie,—
Wspomnieniem, co jak blask przez łzy przelata,—
Nadzieją, co jak wiosna wschodzi wszędzie:
Tu, w sercu mojem, i tam, w sercach świata.

GDY SAD OKWITNIE...

Gdy sad okwitnie i zaklnie w owoce
Blask, co wziął z nieba i z słońca uśmiechu,
Śpiewa, jak niańka, i liśćmi łopoce,
Kołysząc dziatwę w zorzy — słońca echu.

A kiedy dziatwa, biała i różowa,
Słońcu się śmieje z powijaków liścia,
A słońce blask swój w słoneczniki chowa,
Sad, jak gospodarz, czeka nocy przyjścia.

ACH, JUŻ ODESZŁA...

Ach, już odeszła, chociaż była taka
Miłości pełna nad tą smutną glebą...
Kto w górze znajdzie ślady skrzydeł ptaka?
Przeleciał, błysnął, pozostawił... niebo.

Ach, już odeszła, choć na szlak promienny
Rzuciła serce ciche i gołębie...
Kto tropy rybki znajdzie w fali sennej?
Przemknęła, błysła, zostawiła... głębie.

A jednak w duszach wydeptała ślady
Uczuć, co tworzą świętą serc zażyłość —
I tam jej szukaj, tam niema zagłady...
Przeszła i znikła, zostawiła... miłość.

DZIEŃ MÓJ SIĘ ZACZĄŁ.

Dzień mój się zaczął od tej — złotowłosej,
Co mi tak była, jako szczęścia manna,
Strojąca kwiatem szare życia wrzosy,
Przepiękna zorza młodości poranna.

Dzień mój się skończył na tej czarnookiej
I nią mi zaszły szarych lat parowy,
I echem szczęścia był mi szał głęboki
Tej życia mego zorzy wieczorowej.

Z sercem, jak uczuć spopielonych urna,
Trwam—zgasły promień szczęścia wśród przestworzy,
I jak noc jestem bezgwiezdna, pochmurna,
W uściskach złotych tej i tamtej zorzy.

SEN.

Woda tak cicha, błękit wchłaniająca,
Jakby snem była, co się zaklął w falę;
A fala srebrną pierś łabędzia trąca,
Co drży na pełnym bladych zórz krysztale.

I marzy łabędź w mgle zadumą srebrnej,
Na toni drżące kołysząc odbicie,
Że się rozwiewa w jakiś sen podniebny,
Że snem jest wszystko: fala, niebo, życie...

Józef Stanisław Wierzbicki.



SPIS RZECZY:

KSIĘGA CISZY.

5 zł.-

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.